

Afrykański Adolf Hitler, czyli Sahel i wojna

22 stycznia 2020

O europejskich konsekwencjach napadu NATO na Libię w 2011 r. wszyscy chyba słyszeli: rozwój dżihadyzmu w tym kraju rozdartym wojną do dzisiaj i niebywały kryzys migracyjny, który, oprócz kaskady ludzkich dramatów, przyczynił się do kariery politycznej skrajnej prawicy na naszym kontynencie. Ale skuteczne zlikwidowanie państwa libijskiego przez Sojusz Północnoatlantycki przyniosło też tragiczne konsekwencje dla samej Afryki, szczególnie zachodniej. O tym mówi się dużo mniej.

Napis „Precz z polityką francuską w Afryce” z portretem prezydenta Emmanuela Macrona jako Hitlera mógłby świadczyć, że były bankier jest tam znienawidzony bardziej nawet niż we Francji, lecz w krajach Sahelu nie robi się sondaży na ten temat. W każdym razie, na manifestacjach w Bamako, Niamej i Wagadugu od wielu miesięcy można przeczytać na transparentach rzeczy dość szokujące – że Francuzi popełniają „ludobójstwo w Sahelu”, albo że np. „Francja to terroryści” i wszędzie widać to „precz”.

Sahel jako pojęcie geograficzne jest szersze niż jego sens polityczny: konkretnie obejmuje pięć dawnych francuskich kolonii, które w ubiegłym wieku stały się półkoloniami – Mauretanię, Mali, Czad, Niger i Burkina Faso. Nazwy te niewiele Polakowi mówią, ale razem te kraje dają obszar sporo większy od Unii Europejskiej. W niecałe dwa lata po rozbiciu Libii przez NATO (z czołowym udziałem Francji), Paryż był zmuszony wysłać do Sahelu dodatkowe tysiące żołnierzy, bo kryminalny wyczyn NATO (110 tys. zabitych i zniszczenie niemal całej infrastruktury cywilnej) zdestabilizował cały region.

W Libii od razu zaczęła działać na całego Al-Kaida Maghrebu

Islamskiego (AKMI), a gdy dżihadyści opróżnili pozbawione ochrony libijskie magazyny broni, zaczęli wraz z nią roznosić swe idee po całej Saharze i na południe od niej. Ale to właśnie francuscy żołnierze, wysłani nagle do „walki z terroryzmem”, są głównym celem nieprzychylnych napisów na transparentach.

Nowy zasięg dżihadu

Kraje Sahelu to czołówka światowego ubóstwa. W zasadzie wszystkie mają różne mineralne bogactwa pod ziemią, lecz nie mają środków, by je wydobywać. W takim Nigrze, gdzie bieda aż piszczy, Francuzi wydobywają w wielkich kopalniach np. uran, którym dzielą się z Amerykanami (pilnują go zresztą armie obu tych mocarstw), ale obywatelom Nigru niewiele to daje, jeśli odliczyć miejscowe władze, zwykle dobrze opłacone. Ale nie chodzi nawet o minerały. Francuska oligarchia jest tak przyzwyczajona do wyzysku Afryki, że traktuje ją jak swój ogródek. Francuski bank centralny kontroluje finanse aż 14 byłych kolonii w regionie – ich waluty zostały podpięte bezpośrednio pod euro, a tak silna waluta w tak ubogich krajach nie daje szans na rozwój.

Ludność Sahelu ciągle korzysta więc z pustynnego przemytu. Arabowie, Tuaregowie i pustynne plemiona nomadów przewożą z portów Maghrebu na drugą stronę Sahary wiele tanich towarów, ale przemycają też broń z Libii i wysyłają do Europy afrykańskich emigrantów oraz południowoamerykańską kokainę lądującą spokojnie w atlantyckich portach Afryki. Natowska likwidacja państwa w Libii była jak rozbicie banku – wzmogła ten przemyt do nigdy nie widzianych rozmiarów i pozwoliła świeżym, mocno uzbrojonym i zorganizowanym dżihadystom z Libii opanować tradycyjne szlaki handlowe na południe.

Właściwie, kiedy w Mali lądowały pierwsze dodatkowe jednostki francuskie, w styczniu 2013 r., na pustynnej północy kraju było tylko kilka obozowisk AKMI, kilka okupowanych przez nią

miejsowości, ale im więcej Francuzów przybywało, tym bardziej rosła siła dżihadu. Po dwóch latach powstało Państwo Islamskie Wielkiej Sahary (PIWS), które dziś dzieli swe wpływy w Sahelu z Grupą Poparcia Islamu i Muzułmanów (GPIM), zależną od Al-Kaidy. Pustynna wojna nabrała tempa.

Początek niechęci

Francuska operacja, zwana z początku „Serval” (dziś „Barkhane” – „pustynna wydma”) miała trwać tylko 6 miesięcy.

W 2013 r. Francuzi szybko odbili miasteczka zajęte przez dżihadystów, co przyniosło im szacunek Malijczyków. Ale saharyjska pustynia to gigantyczny obszar, a z Libii ciągle nadchodziła broń i posiłki. Przemytnicze połączenie z Nigerią pozwoliło wzmocnić tamtejszych bojowników dżihadu z Boko Haram, ale przede wszystkim utrzymywało buntowników Sahelu. Francuzi wybrali sobie za sojuszników Tuaregów, saharyjskich przemytników „od zawsze”, dla których nowi przemytnicy-dżihadyści byli niepożądaną konkurencją handlową.

Problem w tym, że Francuzi, odbiwszy miejscowości północnego Mali, zabronili malijskiemu wojsku wrócić na te tereny. Inaczej mówiąc, stanęli po stronie Narodowego Ruchu Wyzwolenia Azawadu (NRWA), złożonego w znacznej części z byłych żołnierzy przywódcy Libii Muammara Kaddafiego. Azawad to nazwa środka Sahary i wymarzonego przez część Tuaregów własnego państwa. Miałoby się ono znajdować właśnie w północnym Mali, jeśli na mapie przeciąć ten kraj w najwęższym miejscu. Oczywiście czarne, osiadłe ludy malijskie z południa nie chcą oddać pustynnej części swego kraju, tym bardziej, że pod piaskiem północy znajdują się nie eksploatowane złoża ropy. Podejrzewają, że chcą na ich położyć rękę francuskie koncerny, w zмовie z Tuaregami.

Pif-paf

Po siedmiu latach zbrojnej obecności Francuzów, jak i wojsk ONZ, w Mali, Nigrze i Burkina Faso nastroje antyfrancuskie sięgają szczytu. Do tego stopnia, że przypisuje się Francuzom już nie tylko kolonialne nadużycia (nie traktują miejscowych z przesadnym szacunkiem), ale nawet ciche popieranie dżihadystów. W dwóch pozostałych krajach Sahelu – Czadzie i Mauretanii – panuje relatywny spokój, lecz tam jest najmniej wojskowych. Ludzie na ogół nie mogą uwierzyć, że obecne w Mali i Nigrze armie (francuska i amerykańska) nie są w stanie pokonać ubogiego sahelskiego dżihadu, mimo gigantycznej przewagi technologicznej.

Jak wygląda typowa rzeź? Obie organizacje islamskie – PIWS i GPIM – działają identycznie: mianowicie chmara mężczyzn na wiekowych motorowerach, uzbrojona w polibijskie kałasznikowy, podjeżdża pod bazę lokalnego wojska w Nigrze, Mali lub Burkina Faso, wdziera się do środka i otwiera ogień. Do tej pory nie było przypadku, by regularne wojsko wygrało taką bitwę. Niby Francuzi i Amerykanie, którzy nigdy nie padają ofiarą takich ataków, szkolą lokalne armie, ale wojska te są jedynie symboliczne, zupełnie nieoperacyjne, salwujące się zazwyczaj ucieczką, jeśli to możliwe. Jeśli nie, po prostu giną. Zdarza się zresztą nierzadko, że nie mają ani broni, ani amunicji, a ćwiczą się wołając „pif-paf!”: celują w przestrzeń suchymi kijkami.

To przez Putina!

Na 13 stycznia, w siódmą rocznicę wysłania wojsk francuskich do Sahelu, prezydent Macron wezwał prezydentów pięciu państw do pirenejskiej miejscowości Pau, gdyż tam akurat jeździł na nartach. W przeddzień doszło do rutynowego ataku PIWS na bazę wojskową w Nigrze (89 zabitych żołnierzy, koło setki rannych). Ale Macron się zdenerwował, bo doszły doń słuchy, że nawet wśród władz krajów Sahelu rośnie niechęć do jego

administracji, co jest przecież niedopuszczalne. Owszem, rządy francuskie są przyzwyczajone, że w ich półkoloniach ludność nie lubi władz popieranych przez Paryż, ale same te władze powinny być grzeczne. Zasugerował z miejsca czarnym prezydentom, że wie skąd się biorą antyfrancuskie nastroje w Sahelu: to przez knucie Putina!

Już w zeszłym roku zaskoczeni Francuzi dostrzegli, że na ich podwórku, w pogrążonej w nędzy Republice Środkowoafrykańskiej pojawili się Rosjanie. Nie, nie żadne wojsko: dyplomaci, doradcy, ekonomiści, którzy zaczęli składać miejscowym podejrzanym propozycje rozwojowe. A teraz w stolicy Mali Bamako, w stolicy Nigru Niamej i w Wagadugu (Burkina Faso) na antyfrancuskich manifestacjach pojawiają się transparenty pochwalające współpracę z Rosją. Zdaniem Macrona manifestanci zostali opłaceni przez Rosjan.

I to jest jak najbardziej możliwe, ale grają tu co najmniej jeszcze dwa czynniki: z jednej strony ZSRR zostało zapamiętane jako kraj, który w ubiegłym wieku pomagał w próbach wyzwolenia się z kolonializmu, a z drugiej, Afryce imponuje decydująca rola Rosji w pokonaniu dżihadystów z Syrii, podczas gdy z Amerykanami i Francuzami „zaraza” w Sahelu rośnie, a w piasek wsiąkają potoki krwi.

Podpisać tu!

Macron podejrzewający ukrytą nielojalność „swoich” prezydentów postawił sprawę jasno: każdy ma podpisać oświadczenie, że pragnie obecności francuskiej armii, dodał zresztą, że dośle tam jeszcze trochę żołnierzy. Niektórzy drapali się w głowę, ale oczywiście podpisali. Nazywało się to „Szczyt G-5 Sahel”. Już sama nazwa wydała się wielu Afrykanom kpina, bo co tu porównywać do G-7, czy G-20... Poza tym młody Macron sztorcował starszych wiekiem, co w Afryce nie uchodzi. Jego postawa właścicielska raczej nie poprawi antyfrancuskich nastrojów. W Pirenejach Macron na głównego wroga wyznaczył Państwo

Islamskie Wielkiej Sahary, co przejęło niepokojem lokalnych polityków, gdyż może PIWSowi dostarczyć nowych zwolenników. Na wsiach owi dżihadyści już znajdują sympatię (w końcu atakują tylko wojsko) i zaczynają być nawet postrzegani jako klasyczna partyzantka antykolonialna.

Macron od początku kadencji stara się namówić inne kraje europejskie do wysłania swych żołnierzy do Sahelu strasząc, że tamtejsi islamiści będą robić zamachy w Europie. Ma z tym pewien problem, bo lata mijają a oni akurat nie dokonali żadnego. Ponadto w Europie znana jest już jednak niechęć miejscowych do wszelkich obcych wojsk. Na razie zgodzili się tylko Estończycy: wysłali do pomocy Francuzom 50 żołnierzy, chyba bez przekonania ulegając argumentom, że francuskie samoloty w ramach NATO chronią ich przed Rosją, która wtrąca się do afrykańskich spraw Paryża.

Lewicowy kandydat na przyszłego prezydenta Mali, popularny lekarz Umar Mariko po szczycie w Pau wezwał głośno francuskich żołnierzy do powrotu nad Sekwanę. „Jesteście manipulowani, nie strzeżecie tu pokoju, tylko rozpętujecie wojnę, służycie tylko francuskiemu kapitałowi i nikomu więcej!” Na razie jednak Macron postanowił pozostać we „francuskim Afganistanie”, jak nazywają miejscowi wojnę w Sahelu, z pewnym smutnym fatalizmem.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu